POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA



1952 — Nr IV

PRZECZYTAJ UWAŻNIE

Z DNIEM 1 STYCZNIA 1952 R. INDYWIDUALNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA „POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA" NALEŻY ZGŁASZAĆ I OPŁACAĆ U LISTONOSZY LUB W NAJBLIŻSZYM URZĘDZIE POCZTOWYM DO DNIA 15 POPRZEDNIEGO MIESIĄCA.

Niezapłacenie prenumeraty na czas powoduje automatycznie przerwę w dostawie pisma, dlatego w interesie P. T. Prenumeratorów leży, aby pamiętali, na jaki okres uiścili opłatę.

Cena pojedynczego egz.: 1,50 zł. Prenumerata kwartalna 4,50 zł., półroczna 9 zł, roczna 18 zł.

REKLAMACJE NALEŻY KIEROWAĆ DO LISTONOSZY LUB URZĘDU POCZTOWEGO, W KTÓRYM PRENUMERATA ZOSTAŁA ZGŁOSZONA.

Pobierający miesięczniki do dalszej sprzedaży (tj. Komisanci) załatwiają sprawy związane z odbiorem pisma NADAL z Państwowym Przedsiębiorstwem Kolportażu „RUCH" Kraków, ul. Worcella 6.

POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA



Rok VII 1952 Nr 4

Józef z Nazaretu

Nasza wiedza o człowieku jest jeszcze wciąż bardzo powierzchowna. Dziś po tylu wiekach wysiłków myśli ludzkiej musimy z rezygnacją stwierdzić, że człowiek nadal pozostaje istotą nieznaną. Cóż my bowiem wiemy o nim poza tym co spostrzegamy zmysłami? Niewiele. Po dłuższym współżyciu wiemy, że ktoś jest szorstki lub łagodny, wybuchowy lub spokojny, zrównoważony lub zgoła dziwaczny. Te spostrzeżenia notuje nasza pamięć, a w chwili kiedy przyjdzie nam znów zetknąć się bliżej z daną osobą zastanawiamy się czyniąc przegląd w myśli owych spostrzeżeń i formujemy sobie praktyczny sąd, orzekając: trzeba być ostrożnym, można zaufać, nie trzeba się narzucać, raczej zaniechać tej rozmowy itp. Rzadko kiedy staramy się odkryć przyczynę dlaczego ktoś jest taki lub inny, po prostu omijamy tę sprawę, gdyż trudno jest ustalić trafnie rodowód takiej czy innej zalety względnie wady. Nie działa tu nigdy jedna przyczyna, ale zawsze cały ich splot subtelnie nieraz ze sobą powiązanych. Rozsupłanie misternego ich węzła jest rzeczą niezmiernie trudną, tak jak trudnym jest każde odkrycie.

Trudno jest poznać człowieka, ale trudność ta wzrasta jeśli ten człowiek jest święty. Tu już nie tylko natura i jej prawa działają, ale nadnatura z całą właściwą sobie, a tak odmienną od naturalnych wartości rzeczywistością wywiera wpływ na decyzje człowieka. Święty choć dąży do tego co doskonalsze, bliższe Boga, nie może jednak lekceważyć tego do czego natura go skłania i do czego skłoniłaby go pewnie, gdyby czynnik nadprzyrodzony — nazywany przez nas łaską — nie przeszkodził. Dlatego też święty po wiele razy musi czynić to, co jest nieprzyjemne i to co trudne. Nieraz musi stoczyć walkę ze sobą i musi pokonać sam siebie pozbawiając się najserdeczniejszych swych umiłowań, by odpowiedzieć natchnieniom łaski.

Świętość w najbardziej dla nas uchwytnej formie przedstawia się jako zaleta ujawniająca się w każdej decyzji nie tylko jako pełna świadomość obowiązku, ale ponad to jako realny wysiłek, by nikomu w niczym nie uchybić, ale przeciwnie uczynić dobrze. Wydaje się, że tylko taka postawa duchowa wskazuje na człowieka świętego. W przeciwnym razie jak rozumieć sens słów Chrystusa-Sędziego: „Coście uczynili jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnieście uczynili" i znów „czegokolwiek nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnie nie uczyniliście" (Mat. 25). Widzimy więc, że podstawą wyroku będzie to czy ktoś czynił dobrze, czy też nie. Ostatecznie więc święty — to taki, którego stosunek do bliźnich pozwala określić go: „to człowiek dobry". Jak różne są stopnie dobra tak i świętość nie jest jedna, ale rozmaita, zależnie od tego w jakim stopniu ktoś stawał się dobrym aż po tę chwilę, kiedy przez śmierć możliwość rozwoju ustaje.

Wobec tych myśli musimy zdać sobie sprawę, że świętość Józefa, który był opiekunem Jezusa nie jest tylko dziedzictwem pobożnej tradycji, a nasze o niej przekonanie nie opiera się na samych tylko wywodach pisarzy ascetycznych, ale jest rzeczywistym osiągnięciem przez Niego tej postawy wewnętrznej, dzięki której wszystkim czynił dobrze. Był dobrym — oto treść całego życia św. Józefa. Nigdzie wprawdzie Pismo święte nie mówi w ten sposób o Nim, ale mówi równoznacznie kiedy nazywa Go „sprawiedliwym" (Mt. 1,19). To miano sprawiedliwy jest u św. Mateusza echem powszechnego szacunku jakim otaczano św. Józefa za jego cnotliwe życie. Św. Józef z natury swego zawodu dużo musiał z ludźmi obcować. Był przecież rzemieślnikiem. To było powodem iż w warsztacie Jego niejednokrotnie gromadziło się sporo ludzi. Jedni przychodzili z zamówieniami, inni czekali na odebranie „roboty", a jeszcze inni przychodzili pogwarzyć, bo tu można było zastać kogoś obcego i dowiedzieć się co dzieje się w świecie. Józef nie mógł tych wszystkich ludzi zbywać milczeniem. Załatwiał interesantów, a kiedy był zmęczony, odkładał topór i przyłączał się do ich pogwarki. Nazywano Go, jak to jeszcze dziś jest przyjęte u ludów semickich: „Joséf ben Jaakow", Józef syn Jakuba (Mt. 1,16), albo też bardziej poufnie: „Joséf hecharász", Józef Cieśla. Wszystkim bowiem był znany ze swego zawodu ciesielskiego i był mistrzem w swoim zawodzie tak, że zwolna opuszczano imię nazywając Go po prostu „hecharász" — cieśla. Do tego stopnia przyjęła się ta nazwa, że nawet Jezusa nazwano „Synem Cieśli" (Mt. 13, 55). Wszystko to świadczy, że dla Józefa miano powszechne uznanie, darzono Go szacunkiem i był szeroko znany ze swej uczciwości zawodowej. Wystarczyło powiedzieć, że ten nowy prorok jest „synem cieśli", a każdy zdawał sobie sprawę o kogo chodzi.

Szczegóły te pozwalają jeszcze na dalsze wnioski. Widzimy z tego, że Józef był człowiekiem bardzo skromnym, nie żywił On żadnych ambicji, tak że sąsiadom i tym, którzy odwiedzali Jego warsztat dziwnym

wydało się, jak to się stało, że Jego syn ośmielił się występować w roli proroka. I dlatego nie mogli pogodzić się z myślą, że Syn Józefa zabiera publicznie głos i odważa się nie tylko uczyć, ale nawet karcić, co więcej grozić gniewem Bożym.

Ponad wszystko jednak św. Józef był dobry. W chwili kiedy zauważył odmienny stan Maryi, swej przyszłej małżonki, mówi Pismo św., że nie chcąc Jej zniesławiać zamierzał potajemnie usunąć się. Nie tłumaczy tego zamiaru sama naturalna nieśmiałość. Św. Józef nie był człowiekiem bezradnym, przekonujemy się o tym, kiedy w nocy na głos anioła organizuje szybko i sprawnie ucieczkę. Umiał i potrafił decydować, nie czekał z założonymi rękami na to, co los przyniesie. Motywem, który skłaniał św. Józefa do takiego kroku była chęć, by nie uczynić źle Maryi, chciał być dla Niej dobry. „Nie chcąc Jej zniesławiać“ — mówi wyraźnie Ewangelista (Mt. 1, 19). Boża interwencja uświadomiła Józefa, że właśnie potrzeba, aby przyjął Maryję, gdyż to ustrzeże Ją przed zniesławieniem, a nie ucieczka i to będzie służbą dla Bożych zamiarów, gdyż z Niej narodzi się za sprawą Ducha św. Zbawiciel. Zaniechał więc Józef ucieczki, pozostał przy Maryi, a raczej Maryję przyjął do siebie. Dla świata był mężem Maryi, dla Maryi był opiekunem, żywicielem, towarzyszem Jej trosk i radości, wobec Boga był sługą pełnym pokory.

Pełnił tę rolę cicho i skromnie, pragnął, by nikt nie dostrzegł tego, co czynił. Zarówno wtedy kiedy szukał schronienia w Betlejem i kiedy był świadkiem pokłonu pasterzy, kiedy widział hołd Magów i kiedy uchodził przed gniewem Heroda, kiedy porzucał ojczyznę i kiedy do niej wracał, kiedy smucił się ze straty Jezusa i kiedy razem z Nim pracował, zawsze był pokorny, zawsze bez słowa skargi, zawsze gotów na wszystko, zawsze dobry...

Tak nam przedstawia się św. Józef. Widzimy w nim niemal zawsze świadka największej tajemnicy, ale obok tego powinniśmy spojrzeć na Jego życie tak jak na nie patrzyli mieszkańcy Nazaretu. Zobaczymy wtedy jak wśród codziennych zajęć Józef nie unikając wcale ludzi i nie uciekając od spraw doczesnych stawał się coraz bardziej doskonały, święty, tak że tylko jedno określenie „sprawiedliwy“ może wyrazić to czym był. Czcimy Józefa jako świętego nie tylko dlatego, że Maryja była Mu poślubiona, że był przybranym ojcem Jezusa, ale również dlatego, że był sprawiedliwy, że był dobry.

Ten, komu nie jest obojętne życie święte, zawsze będzie próbował odkryć to, co naprawdę czyni nas miłymi Bogu, a co przez dobroć osiągnął czczony przez nas Syn Jakuba, Cieśla, ów Józef z Nazaretu.

O. Roman k. b.

ZMARTWYCHWSTANIE

Kościół przez uroczyste obchodzenie świąt pobudza wiernych do ciągłego przeżywania prawd wiary. By w myśl Kościoła brać należyty udział w obchodzeniu poszczególnych świąt, trzeba za każdym razem przemyśleć treść, znaczenie danego święta, a następnie, poznawane prawdy wprowadzać w życie — przeżywać je na co dzień. Powtarzające się corocznie uroczystości kościelne nie są tylko pamiątką, wspominaniem wydarzeń sprzed 2000 lat; one odzwierciedlają istotny nurt życia chrześcijańskiego, którym jest stałe, codzienne przeżywanie tajemnic Chrystusowych. Każdy, kto przez chrzest włączony został do społeczności Kościoła i jest w stanie łaski uświęcającej, uczestniczy w życiu samego Chrystusa — w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od własnej gorliwości; pozbawia się uczestnictwa w życiu Chrystusa, kto trwa w stanie grzechu śmiertelnego. Kościół w dorocznych uroczystościach troskliwą myślą obejmuje wszystkich: tych, którzy głęboko przeżywają tajemnice wiary — pobudza do większej gorliwości, „letnich" — zagrzewa, oziębłych: upomina, upadłych — podnosi, zbłąkanych — wzywa do powrotu... Wszak zadaniem Kościoła jest prowadzić wszystkich ku pełni życia nadprzyrodzonego.

Rok kościelny — podzielony na dwa okresy: Bożego Narodzenia i Wielkanocy — skupia naszą myśl wokół dwu zasadniczych dla naszego zbawienia tajemnic wiary: Wcielenia i Odkupienia. Donioślejszą dla ludzkości jest tajemnica Odkupienia; „bezużytecznym byłby dla nas dar życia, gdyby nam brakło łaski odkupienia" — śpiewa Kościół w Wielką Sobotę[1]). Dlatego też najważniejszym świętem w roku kościelnym jest Wielkanoc. — Zmartwychwstanie Chrystusa jest podstawą, na której opiera się nasza wiara w Jego Bóstwo, w Jego mesjańskie posłannictwo. „Jeśli Chrystus nie powstał, daremna jest wiara wasza, dotąd bowiem jesteście w grzechach waszych" — pisze św. Paweł Ap. (I Kor. 15, 17). Zmartwychwstanie Chrystusa jest ostatecznym dowodem skuteczności łaski Odkupienia, dowodem zwycięstwa nad grzechem i śmiercią.

W świetle triumfu zmartwychwstania Pańskiego rozważa Kościół tajemnicę Odkupienia dokonaną w Wielki Piątek przez mękę i śmierć Jezusa Chrystusa. który „Ojcu przedwiecznemu za nas dług Adama spłacił i Swą najświętszą Krwią list dłużny starej winy wymazał"[2]). „To co niegdyś przez Proroków w pismach

---

1) Prefacja podczas święcenia paschału. 2) jak wyżej.



RADUJ SIĘ NIEBA KRÓLOWO,

ALLELUJA!

obiecał, dzisiaj wypełnił, zwyciężając śmierć i zmartwychwstając"[3]). „On bowiem prawdziwym jest Barankiem, który zgładził grzechy świata, który umierając śmierć naszą zwalczył, a zmartwychwstając życie nam przywrócił"[4]).

Co czyni człowiek otrzymawszy od Boga tę łaskę, bez której „bezużytecznym byłby dla nas dar życia"? — Właściwą postawę człowieka wobec daru Odkupienia najlepiej wyraża i streszcza wciąż powracający, radosny śpiew Kościoła: „Alleluja!" (Z hebrajskiego znaczy: chwalcie Boga). Ze świadomości dokonanego przez Syna Bożego „z woli Ojca, za współdziałaniem Ducha św." dzieła zbawienia wypływają hymny *chwały* i *uwielbienia* Boga za okazane nam miłosierdzie. Rezurekcję wielkanocną rozpoczyna śpiew: „Gloria tibi Trinitas". „Chwała Tobie Trójco, jednym będąca Bogiem". Kilkakrotnie powtarzają się wiersze psalmów: „Chwalcie Pana wszystkie narody, chwalcie go wszystkie ludy". (Ps. 116, 1). „Wysławiajcie Pana, bo dobry jest, bo na wieki trwa miłosierdzie Jego" (Ps. 117, 1). — Wśród pieśni chwały i uwielbienia rozbrzmiewa intensywnie w tym okresie przeżywana *radość*. Radujemy się ze zwycięstwa Jezusa Chrystusa, z Jego zmartwychwstania, radujemy się z otrzymanej łaski Odkupienia, która otwiera przed nami bramy nieba, przywraca dostęp do Źródła wszystkich łask. „W zmartwychwstaniu Twoim, Chryste, alleluja! Niebo i ziemia się radują, alleluja!"[5]).

Tu na ziemi Kościół nie przeżywa jednak tej radości w całej pełni, gdyż mąci ją troska, byśmy z bezcennego daru Odkupienia należycie korzystali, byśmy z własnej winy go nie zmarnowali. Toteż myśl zwraca się tam, gdzie nasza radość będzie wieczna i niczym niezmącona; hymny chwały i radości przeplatane są gorącą, pokorną prośbą, „abyśmy przez doczesne święta, które obchodzimy, zasłużyli dojść do radości wiecznych"[6]).

Przeżywanie z Kościołem tajemnic wielkanocnych skierowuje nas ku najwyższemu celowi życia, którym jest chwała Boża. By wielkanocne hymny radości i uwielbienia stały się naszym osobistym przeżyciem, musimy wpierw uczestniczyć w męce, śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa. A to jest streszczeniem życia chrześcijańskiego. „Przez chrzest bowiem — pisze św. Paweł Ap. — zostaliśmy razem z nim (Chrystusem) pogrzebani w śmierci, aby jako Chrystus zmartwychwstał przez chwałę Ojca, tak i my byśmy w nowości życia chodzili. ...Rozumiejcie, żeście umarli dla grzechu, a żyjecie dla Boga w Jezusie Chrystusie, Panu naszym" (Rzym. 6; 4, 11).

---

[3]) Modlitwa podczas Rezurekcji. [4]) Prefacja wielkanocna.
[5]) Rezurekcja. [6]) Modlitwa podczas Rezurekcji.

Przyjmując Sakrament Chrztu wyrzekamy się „ducha złego i wszystkich spraw jego“, tzn. wyrzekamy się grzechu, egoizmu, tego wszystkiego ku czemu skłania się „stary człowiek“ — nasza natura spaczona przez grzech pierworodny. Znosząc w zjednoczeniu z Chrystusem cierpienia i troski tego życia, walcząc wytrwale z własnymi złymi skłonnościami — uczestniczymy w męce i śmierci Chrystsua. Z Nim współumieramy, lecz równocześnie z Nim zmartwychwstaniemy do życia „nowego“, do trwającego wiecznie nadprzyrodzonego życia Łaski. Do tej odmiany „starego“ życia na „nowe“ nawołuje nas Kościół szczególnie podczas Wielkiego Postu, przypomina nam jednak o tym obowiązku również w czasie świąt: „Uprzątnijcie kwas stary, abyście byli ciastem nowym...“ (Kor. 5, 7)[7]).

Kto doskonalej uczestniczy w śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa, ten pełniej przeżywa wielkanocną radość i uwielbienie Boga. Przeżywa nie tylko podczas świąt, lecz i w ciągu roku. Zwykłą pracą, codziennym spełnianiem obowiązków oddaje chwałę Bogu i życie jego staje się początkiem „przyszłej chwały, która się w nim objawi“ (Rzym. 8, 18). W oddaniu chwały Bogu znajduje człowiek najwyższą, najczystszą radość i szczęście; bo gdy nie tylko słowami, lecz prawdą i czynami swego życia oddaje chwałę Bogu, wówczas Bóg obdarza go współudziałem w chwale Jezusa Chrystusa. To jest szczytem szczęścia i wzniosłym celem naszego życia.

Najdoskonalszym wzorem oraz Przewodniczką w przeżywaniu tajemnic Chrystusowych jest dla nas Najśw. Maryja Panna. Toteż Kościół zwraca się do Niej we wszystkich uroczystościach roku kościelnego. W W. Piątek widzieliśmy Ją współcierpiącą z Jezusem, w Niedzielę, rozważając Jej doskonałą radość, śpiewamy. „Raduj się nieba Królowo, alleluja!“

Maryja wprowadza nas w głębię Bożych tajemnic, uczy nas żyć życiem Chrystusa i — jeśli wiernie za Nią iść będziemy — wyjedna nam łaskę dojścia tam, gdzie sama już przebywa: do chwały ostatecznego zmartwychwstania w Jezusie Chrystusie.

I. S.

[7]) Lekcja z W. Niedzieli.

Kościół jest Wielkim Darem, ofiarowanym przez Stwórcę ludziom, aby zachowana była przyjaźń między niebem a ziemią.

E. Hello

Czy i jak trzeba słuchać Mszy św.?

Są ludzie, którzy mówią, że do podobania się Bogu nie potrzeba słuchać Mszy św. Mówią, że wystarczy „religia serca“, czyli wiara i miłość, bez praktyk religijnych.

Cóż by znaczyła nasza miłość do bliźniego; do rodziców, krewnych, przyjaciół, gdyby polegała tylko na „kochaniu sercem“. Napewno żaden z nas takiej miłości nie chciałby. Miłość musi być stwierdzona czynem. A po drugie gdyby człowiek nie praktykował miłości, to napewno ta miłość by wygasła. Jeśli kłaniamy się naszym znajomym, to nie tylko dokumentujemy nasze uczucia, ale je rozniecamy, podtrzymujemy. Ludzie, którzy głoszą religię bez praktyk nie znają człowieka, nie znają jego budowy psychicznej i dlatego nie powinni zabierać głosu w sprawie tak ważnej jak stosunek człowieka do Boga.

Nie było religii bez ofiary. Poganie i Żydzi ofiarowali zwierzęta i płody ziemi; dla przebłagania za grzechy, dla uproszenia łaski, dla oddania się bóstwu.

Czytamy w Piśmie św. że Kain i Abel ofiarowali Bogu dary. Czytamy tam też, że Noe po potopie zbudował ołtarz Panu. Czytamy dalej, że po zwycięstwie Abrahama nad nieprzyjaciółmi, arcykapłan Melchisedek ofiarował jako dziękczynienie Bogu chleb i wino. Chrześcijaństwo ma też swoją ofiarę. Jest nią Msza święta. Szczególna i najwyższa zarazem forma ofiary! Ofiarnikiem jest Chrystus i ofiarą jest Chrystus. Kapłan jest tylko narzędziem w ręku Chrystusa, a w chwili Przeistoczenia staje się jak gdyby drugim Chrystusem. Nie mówi przecież „to jest Ciało Chrystusa“ — ale — „to jest Ciało Moje“.

Jeżeli Pan Bóg przyjmował dary starozakonne, jeżeli łaskawym okiem wejrzał na dary Abla, Abrahama i Melchizedeka, chociaż były to tylko plony ziemi, jakżeż łaskawiej przyjmuje ofiarę, którą jest Sam Syn Boży. Każda Msza św. jest bezkrwawym, ale identycznym powtórzeniem ofiary krzyżowej. Czy nie pójdziemy na nią, jak Maryja Panna, św. Józef i Magdalena poszli za Chrystusem na Kalwarię? Dowodem naszego oddania się Bogu jest ofiara, u nas Msza św. Stąd koniecznym obowiązkiem jest słuchanie Mszy świętej i dlatego Kościół nakazał czynić to w każdą niedzielę i święto. Obraża, lekceważy Boga ten, kto Mu nie składa ofiar, kto Mu się nie oddaje. Dlatego na pierwszym planie zajęć niedzielnych i świątecznych winna znajdować się Msza św. Bez słuchania Mszy św. nie ma błogosławieństwa Bożego bo Bóg gniewa się na tych, co Go lekceważą. Bez Mszy św. nie ma pobożnego życia, gdyż Msza przypomina człowiekowi, że jest sługą Bożym i stanowi hamulec przed wieloma grzechami. Stąd Mszy św. trzeba słuchać w każdym tygodniu, a nie tylko w wielkie święta! Kto opuszcza Mszę św. ten opuszcza Boga. I przeciw-

nie, kto na Mszę regularnie przychodzi ten od moralności i religii katolickiej niełatwo się odłączy.

Msza św. jest ofiarą. Stąd nie wystarczy uczestniczyć np. w nieszporach lub innych nabożeństwach. Mszy św. nie zastąpi żadne nabożeństwo.

Ale Msza św. jako ofiara musi być zawsze właściwie pojmowana. Gdyby wierni zdawali sobie z tego sprawę napewno i częściej i lepiej uczestniczyliby w tym nabożeństwie. Kościół nie nakazuje „słuchać“ Mszy w dosłownym znaczeniu, ale w niej uczestniczyć. Bo to nie jest rzecz księdza, tylko wspólna ofiarować Bogu dary. Tak wynika z tekstu Mszy św. Kapłan nieraz zwraca się do ludu, a lud mu odpowiada.

Tak było przez dziesięć pierwszych wieków Kościoła. Tymczasem przyzwyczailiśmy się do tego, że czynią to za nas ministranci i w ogóle nie interesujemy się tym, co się dzieje na ołtarzu. Nie obchodzi nas kolor szat kapłańskich, nie interesują nas wezwania księdza, ani poszczególne akty Mszy św. Najwyżej na podniesienie przyklękamy i to cały nasz udział we Mszy św. Są tacy, co — słuchają — czyli się w ogóle nie modlą. Czasami ucinają rozmówkę z sąsiadem; naturalnie dla kogo Msza jest zagadką i sprawą obcą nie można się dziwić. Większość się jednak modli. Odmawia się litanie, różaniec, modlitwy o różne łaski, tylko nie modlitwy mszalne.

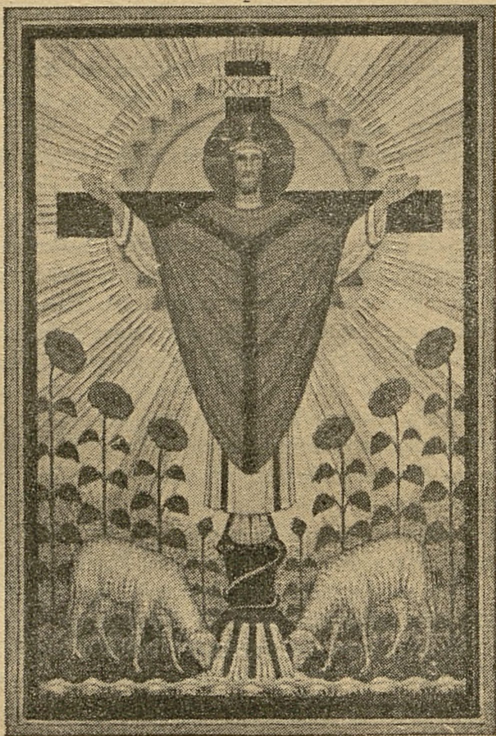
A jeśli kto z książeczek czyta te modlitwy, to dzięki ich niepokrywaniu się z tekstami Mszy św. i nieznajomości Mszy czyta bezsensownie. I stąd wynikają takie niedorzeczności, że kiedy jest np. konsekracja, to on już czyta modlitwy podczas ostatniej Ewangelii.

Na czas Mszy św. powinno się zamknąć wszelkie książeczki do nabożeństwa, odłożyć różaniec i zaprzestać własnych, prywatnych modlitw. Nawet najgorętsze modlitwy prywatne, chociażby tam było nie wiadomo ile pięknych słów nic nie znaczą wobec tekstów mszalnych. Jest tylko jeden sposób słuchania Mszy świętej, jest tylko jedna książka do nabożeństwa mszalnego — mszalik.

Dzisiaj mszaliki są tak popularne i tak łatwe do nabycia, że powinny znaleźć się w ręku każdego katolika. Jest w nich urzędowa modlitwa Kościoła, której nie zastąpi żadna inna, choćby pozornie najgorliwsza. Tylko wówczas gdy będziemy na Mszy modlić się z mszalika, czyli odmawiali to samo, co kapłan przy ołtarzu, tylko wówczas, gdy odmawiając teksty mszalne będziemy odkrywać coraz nowe i potężniejsze piękno liturgii i jej modlitw, Msza św. przestanie być dla nas obcą i nieinteresującą; stanie się naszym umiłowaniem, wspaniałym przeżyciem duchowym i estetycznym, wzbogaci naszą kulturę ducha, nauczy nas prawd wiary, pomoże rozmawiać z Bogiem i zwiąże lepiej z ludźmi.

Zbigniew Zielonka

MSZA ŚWIĘTA



MODLITWY U STOPNI

1.

Można spotkać ludzi, zwłaszcza młodzież, dla których obowiązek obecności na Mszy św. jest prawdziwym ciężarem. Przyczyny takiego usposobienia są różne. Najgłówniejszą jednak przyczyną jest to, że nie zdają sobie sprawy, czym jest Msza święta i to także, że nie pamiętają o ważności i wielkości Mszy świętej, gdy są w kościele.

Pierwszą Mszę św. w sposób całkowity i krwawy, w zastępstwie całej ludzkości, ofiarował P. Bogu P. Jezus na krzyżu. Była to Ofiara jedyna. W niej koncentrują się chwała Trójcy Najświętszej i zbawienie ludzkości. Wszystkie Sakramenta św., nasze

modlitwy, intencje, dobre uczynki itd. — to są promienie Słońca, które rozgorzało niegdyś na krzyżu.

W tej pierwszej krwawej ofierze, złożonej za nas, mamy obowiązek uczestniczyć wszyscy. Nasze uczestnictwo musi być nie tylko wspomnieniem tego, co było; ono musi być czynne. Co to znaczy? To znaczy, że mam być obecnym, gdy się dokonuje ofiara krzyżowa, że ta ofiara nie tylko była, ale jest teraz. Dzieje się to właśnie dzięki ofierze Mszy św.

Z woli P. Jezusa, wyrażonej podczas Ostatniej Wieczerzy, Msza św. jest tą samą ofiarą krzyżową, złożoną na cześć Trójcy Przenajświętszej i zbawienie ludzi, przez ręce kapłana w sposób niekrwawy i sakramentalny.

Na krzyżu P. Jezus złożył ofiarę za siebie osobiście. Podczas Mszy św. P. Jezus składa tę samą ofiarę przez kapłana. Dlatego wartość Męki P. Jezusa na krzyżu jest nam dostępna i jest, można powiedzieć, do „naszego rozporządzenia".

2.

Msza św. rozpoczyna się znakiem Krzyża św. i modlitwami wstępnymi u stóp ołtarza. Wszystkie ważniejsze sprawy powinno się rozpoczynać znakiem krzyża, a jakaż może być większa sprawa w oczach Bożych, niż Msza św.? Każdy też rozumie znaczenie krzyża na początku Mszy św. Dobrze by było wtedy pomyśleć o swoich krzyżach i o krzyżach innych i intencją dołączyć je do rozpoczynającej się Mszy św. Wówczas nasze krzyże i krzyżyki stają się cząstką krzyża P. Jezusa i nabierają moc uświęcenia nas i naszych bliźnich.

Na początku też Mszy św. trzeba sobie zdać sprawę z tego, że teraz P. Bóg oczekuje ode mnie chwały i czci, a ludzie pomocy przez moje uczestnictwo we Mszy św., i trzeba wzbudzić w duszy swej pragnienie, aby oczekiwaniom P. Boga i ludzi jak najlepiej odpowiedzieć.

Ta postawa wewnętrzna wprowadza nas w modlitwy wstępne, które nazywamy ministranturą. Jest to psalm 42. Nastrój tego psalmu — to wielkie pragnienie i poczucie swej nędzy. Autor tego psalmu król Dawid, wygnany i prześladowany uznaje swe cierpienia, jako słuszną karę Bożą za swe grzechy i jednocześnie całym sercem pragnie powrócić do świątyni pańskiej. Poczucie swej nędzy i wielkie pragnienie, aby być blisko P. Boga — oto usposobienie duszy kapłana, rozpoczynającego Mszę św. To samo uczucie powinno być w sercach tych, którzy

są obecni na Mszy św. Aby jednak żyć Mszą św., trzeba czasami przypomnieć sobie psalm 42 w ciągu dnia. A więc, gdy nas ogarnie zniechęcenie, zmęczenie, poczucie swej nędzy, natychmiast trzeba rozbudzić w duszy wielkie pragnienia, aby być jak najbliżej Serca Bożego i wielką ufność, że tym przezwyciężymy wszystkie nasze nędze i biedy. W ten sposób codzienne troski włączamy w psalm 42 ministrantury.

Po psalmie 42 następuje wzajemne wyznanie win. Jest to „Confiteor". Kapłan wyznaje swe winy u stóp ołtarza nie tylko przed P. Bogiem, ale i przed wiernymi (*et vobis fratres*), wierni czynią to samo, — obwiniają się wobec P. Boga i wobec kapłana *(et tibi pater)*.

„Confiteor" też trzeba włączyć w swoje codzienne życie.

W naszym życiu nie tylko chodzi tu o spowiedź. Chodzi o to, aby nie przejść do „porządku dziennego" nad żadnym swym upadkiem. Sposób nie jest trudny: po każdym grzechu większym czy mniejszym od razu wzbudzić w duszy żal doskonały. Oto jest nasza ministrantura mszalna i ministrantura życiowa.

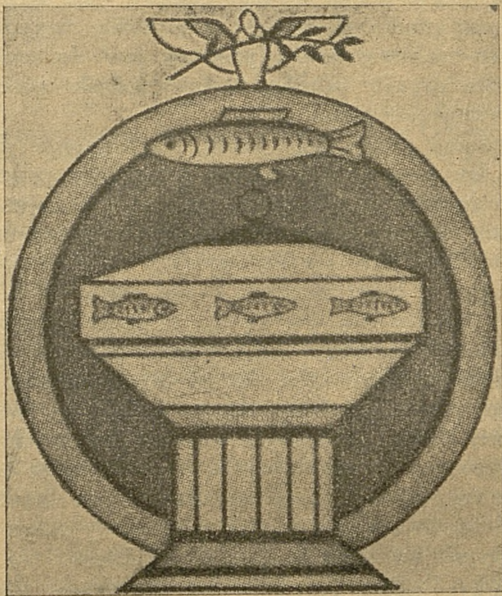
Ks. Kazimierz Dąbrowski, T. J.

Obowiązek wiary

Pierwsza niedziela po Wielkanocy, u nas nazywana niedzielą Przewodnią, w liturgii Kościoła katolickiego otrzymała nazwę niedzieli Białej. Skądże ta nazwa? W pierwszych wiekach Kościoła chrzty katechumenów odbywały się przeważnie w Wielką Sobotę i w sobotę przed Zesłaniem Ducha Św. Wszyscy nowoochrzczeni przez osiem następnych dni nosili szaty białe, jako symbol odnowienia i nieskalaności uzyskanej na chrzcie świętym. Po ośmiu dniach składali białe szaty, a ubierali się w swe szaty zwyczajne. Składanie białych szat przypadało właśnie na pierwszą niedzielę po Wielkanocy. Stąd poszła nazwa niedzieli Białej. Duchowy nastrój, jaki wówczas panował, odtwarza nam liturgia tego dnia, a zwłaszcza Msza św.

Dla wszystkich nowoochrzczonych dzień ten byl przejściem z opływających radosnym namaszczeniem uroczystości w codzienny trud dźwigania krzyża Chrystusowego, w mozolną pracę nad wypełnieniem Jego świętych nakazów. W dniu tym przypominał Kościół tak nowoochrzczonym, jak i wszystkim wiernym, że ich wysiłki winny być skierowane ku wprowadzeniu w całe swe życie zobowiązań powziętych

na chrzcie św. Głównym zaś obowiązkiem, jaki nakłada chrzest dzieciom Kościoła — to obowiązek zachowania i udoskonalenia cnoty wiary. Wiara wzmocniona i ożywiona dobrymi uczynkami, ma być ciągłym świadectwem zmartwychwstania Chrystusa Pana, ma być głośnym jak dzwon kościelny przypomnieniem, że wszyscy jesteśmy mieszkaniem Ducha Św., że w duszy naszej pulsuje i rozwija się życie łaski.



Przy chrzcielnicy otrzymaliśmy dar wiary.

Cnota wiary jest cnotą boską, wlaną nam na chrzcie przez Boga. W życiu nadprzyrodzonym, czyli w życiu łaski, ma ona zasadniczą i niczym niezastąpioną funkcję. Wiadomo nam z doświadczenia, że aby człowiek mógł żyć, musi posiadać odpowiednio wykształcony i zdrowy organizm, zdolny do spełniania wszystkich funkcji życiowych. Potrzebne są płuca z całym aparatem oddechowym, serce z obiegiem kwionośnym, żołądek z systemem pokarmowym itd. Podobnie i w dziedzinie nadprzyrodzonej, aby mogło zaistnieć życie łaski w duszy, potrzebny jest pewien organizm. Narządami tego organizmu są trzy cnoty boskie. Gdy więc człowiek na chrzcie św. otrzymuje łaskę, otrzymuje również razem z nią cnoty: wiary, nadziei i miłości. Rozwój jednak życia łaski jest uzależniony od rozwoju tego organizmu. Dlatego z chwilą przyjęcia

chrztu św. bierzemy na siebie obowiązek pracy nad udoskonaleniem tych trzech organów życia nadprzyrodzonego.

Jakkolwiek wszystkie trzy cnoty boskie są niezbędne do życia łaski, to jednak cnota wiary pod pewnym względem ma tutaj najważniejsze znaczenie, ponieważ usposabia człowieka do odzyskania innych dwu cnót, a wraz z nimi życia nadprzyrodzonego, które utraciliśmy przez grzech. Wiara pierwsza przychodzi i ostatnia zanika, bo ją niszczy dopiero grzech niewiary albo herezji. Choćby więc ktoś bardzo wiele utracił, jeśli wiarę zachował, z łatwością może wszystko naprawić. Człowiek, który zachował wiarę, podobny jest do zziębniętego wędrowca, któremu zagasło ognisko, który jednak posiada przyrząd i materiał do wzniecenia ognia.

Lecz rozważanie wiary, jako cnoty dysponującej do odzyskania utraconej łaski jest niedostateczne, gdyż przedstawia tylko jedną stronę medalu. Wiara bowiem ma o wiele ważniejsze zadanie do spełnienia już po uzyskaniu łaski. Oto, jak św. Jan Apostoł w swym liście określa funkcję wiary: „Wszystko, co się narodziło z Boga zwycięża świat; a to jest zwycięstwo, które zwycięża świat: wiara nasza. Któż jest, co zwycięża świat, jeśli nie ten, kto wierzy, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym? [1]) Wiara strzeże nas od uciążliwego błąkania się po bezdrożach i wskazuje prosty szlak do celu. W jej blaskach łatwo jest poznać wartość każdego czynu i każdej rzeczy. Dzięki jej światłu możemy uniknąć z jednej strony przeceniania rzeczy doczesnych, a z drugiej niedoceniania rzeczy nadprzyrodzonych. Wiara wytycza nam bezpieczne ścieżki do wiecznej chwały, uczy nas patrzeć na każdą rzecz pod właściwym kątem. Ona wlewa i podtrzymuje siły nasze do pokonania przeszkód stojących na naszych drogach ku Bogu.

Nie wystarczy jednak prawdziwemu katolikowi otrzymać cnotę wiary na chrzcie i nie troszczyć się już więcej o nią, podobnie jak nie wystarczy zasadzić delikatną roślinę i zostawić ją na łaskę losu. Chrzest święty nakłada na nas wszystkich obowiązek pogłębienia jej przez wniknięcie w istotę tych prawd; obowiązek umocnienia przez położenie silnego fundamentu dobrych uczynków, bo „wiara bez uczynków martwą jest" i wreszcie obowiązek ożywienia jej miłością. Taka wiara dopiero sprowadzi na nas błogosławieństwo, którym Chrystus Pan odpowiedział na wyznanie św. Tomasza: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli". Przy pomocy tak udoskonalonej wiary na pewno osiągniemy zwycięstwo, o którym mówi św. Jan Apostoł w lekcji na niedzielę Przewodnią.

Karmelita Bosy

---

1) Jan I, 5, 4—6.

MODLITWA

„A oto przybył człowiek, imieniem Jair, który był zwierzchnikiem synagogi. I padł do nóg Jezusa, prosząc aby wszedł do domu jego, gdyż umierała mu córka jedynaczka, nie mająca lat dwunastu. I zdarzyło się, gdy szedł, że cisnęły się nań rzesze. A oto niewiasta pewna mająca krwotok od lat dwunastu, która na lekarzy wydała całe swoje mienie, a przez żadnego uleczoną być nie mogła, podeszła z tyłu i dotknęła się kraju szat jego, a oto natychmiast ustał krwotok. I rzekł Jezus: Kto się mnie dotknął? A gdy się wszyscy zapierali, rzekł Piotr i ci, którzy z Nim byli: Mistrzu rzesze się cisną i tłoczą, a ty mówisz: Kto się mnie dotknął? I rzekł Jezus: Dotknął mnie ktoś, bo wiem, że moc moja przejawiła się na zewnątrz. A widząc niewiasta, że się nie utaiła, podeszła drżąc i padła do nóg jego i wobec wszystkiego ludu oznajmiła, dlaczego się go dotknęła i jak natychmiast uzdrowioną została. A On jej rzekł: Córko wiara twoja Cię uzdrowiła, idź w pokoju". (Łuk., VIII, 41—48).

Często czytamy w Ewangelii, jak Pan Jezus uzdrawiał chorych, bo na Wschodzie spotykamy wiele różnych chorób. Klimat Palestyny z nagłymi zmianami temperatury powoduje liczne schorzenia. Po zimie zaraz robi się gorąco (40 stopni w cieniu), po upalnym dniu następuje zimny wieczór. Z wiatrami chłodnymi nadciąga od morza wilgoć w takiej obfitości, że ubranie zupełnie przemaka. Z powodu gorąca szerzą się choroby zakaźne, zwłaszcza malaria i czerwonka. Epidemicznie chorują ludzie na oczy, zdaje się z obfitości pyłu w czasie posuchy i z jaskrawych promieni odbijających się o biały kamień domostw. Za czasów Chrystusa Pana nie było rozwiniętej sztuki lekarskiej, nadto zwykle leczenie łączono z zabobonnymi zamawianiami. Powszechnie mniemano, że choroby wywołane są przez złe moce, że są karą za grzechy itp. Pełne dobroci Serce Zbawiciela nie mogło być nieczułe na tę nędzę ziomków.

W powyższym ustępie, który się czyta w XXIII niedzielę po Świątkach, spotykamy dwie osoby, proszące o uzdrowienie. Arcybożnik który mimo lęku przed Faryzeuszami szuka ostatniej deski ratunku dla dziecka upokarza się i prosi Jezusa o pomoc. Niewiasta zaś nie chce w swej pokorze zajmować sobą Jezusa, chce być niepostrzeżona, a wierzy, że Jezus jako Bóg wie, czego jej trzeba, dotyka szat i odchodzi zdrowa. Oto dwa typy modlitwy, który spotykamy w każdej epoce i w każdym środowisku: modlitwa słów i modlitwa milczącej wiary. Która jest skuteczniejsza? Pan Jezus obu wysłuchuje, niewiastę chwali za jej wiarę, a biednego ojca potrzymuje w jego słabiutkiej wierze. Obie modlitwy rodzą i zostawiają pokój.

Każda z tych modlitw jest dobra, bo każdy musi modlić się naturalnie, wedle swej skłonności, zrozumienia i wymagań Bożych. Tu nie może być szablonu i tego szablonu strzeżmy się w wychowaniu.

Są osoby, którym wystarcza modlitwa ustna. Usta powtarzają jakąś formułę ale serce pod te słowa podkłada ciepło i treść, a wola przynagla do skupienia, do utrzymania się w obecności Bożej. Taka modlitwa powinna kończyć dzień w każdej rodzinie katolickiej. Inne dusze wolą natomiast modlitwę myślną, biorą jakiś szczegół z życia Chrystusa Pana, czy jakąś prawdę wiary, lub cnotę i rozważają, wyciągając praktyczne wnioski dla siebie, wielbiąc dobroć i mądrość Bożą. Osoby obdarzone darami rozumu i umiejętności przenikają najgłębiej prawdy i żyjąc na ziemi obcują równocześnie z niebem.

Spotyka się osobniki obdarzone taką siłą uczucia, że modlą się afektami, aktami strzelistymi, nierzadko wylewając przed Panem łzy wdzięczności i żalu. — Jest jednak dużo osób, które nie mogą rozważać, a serce ich odczuwa chłód i martwotę, a jednak one Pana Boga kochają i trwać chcą przy Nim, by Mu nieść hołdy czci i miłości pracą, cierpieniem, modlitwą — modlą się one wolą. „Ks. Semenenko tak o tym pisze: „Modlitwa woli jest najoczywistsza. Dusza tu stąpa po stałym gruncie Woli Bożej. Modlitwa woli jednoczy modlitwę myślną i uczuć. Doznajemy pokoju, ustają roztargnienia, całe życie nasze staje się spełnieniem Woli Bożej w każdej chwili. Tu jest miejsce ofiary, odstąpienia od swego... Bóg nie potrzebuje słów, a słyszy i widzi wszystko, jak powiada modlitwa kościelna; że dla Boga każde serce jest otwarte, a każda wola mówi".

Modlitwa to obcowanie z Bogiem — jak mówiła św. Teresa od Jezusa. Ludzie sami sobie ją utrudniają, czyniąc z niej coś sztucznego. — Tymczasem dziecko pełne prostoty o wiele lepiej rozumie i prześlicznie samorzutnie potrafi się modlić, choćby w towarzystwie lalki, czy kotka. Modlitwa w życiu świątobliwych dzieci, o których nieraz czytamy odgrywała wielką rolę. Wychowawca powinien być w tej sprawie bardzo dyskretny i nie narzucać się dziecku, jakkolwiek do niego należy pouczenie o modlitwie i wdrożenie do niej.

Bardzo często obciążamy pamięć dziecka licznymi formułkami, w których się dziecko gubi i przestaje do Boga mówić swoimi słowami. Wyuczamy dzieci nieraz formułek dziecięcych, ale za rok już taka modlitwa nie ma dlań uroku, bo umysł się rozwinął i postąpił. Niebezpieczne byłoby skojarzenie w umyśle dziatwy, że im więcej wyklepią pacierzy, tym jest pobożniejsze. Jest to bardzo fałszywa zasada prowadząca do bezdusznej dewocji. Nie tyle uczmy modlitw, co wyrabiajmy ducha modlitwy, zmysł religijny, nastawienie na Boga i Jego sprawy... Przykładem duszy takiej jest owa uzdrowiona niewiasta. Dla dziecka nie bę-

dzie to trudne, gdyż jest w nim żywa łaska Chrztu, pęd naturalny do wiary i ufności, oraz poczucie własnej słabości, która szuka oparcia w modlitwie i w Bogu.

Dużo wskazówek znajdą rodzice w książce Łubieńskiej de Lavale: „Wychowanie zmysłu religijnego“ (wydana po francusku). Autorka twierdzi między innymi, że pierwszą modlitwą dziecka to modlitwa myśli i uczuć, a ustnej uczy się od otoczenia. Tamtej uczy zaś Duch Święty, kierownik naszego życia duchownego. Tajemnica Boga budzi akty adoracji, budzi cześć połączoną z świętą bojaźnią, która jest początkiem mądrości. Tu pomocne będa opowiadania biblijne, bo tam na każdym kroku występuje ta wielka cześć dla Jahve. — Główną jednak szkołą prawdziwej modlitwy będzie liturgia przez swe piękno i akcję. W liturgii na pierwsze miejsce wysuwa się Bóg, a człowiek ze swym małym światkiem schodzi na plan drugi, a o to właśnie chodzi w wychowaniu do prawdziwej pobożności. Nie wolno dzieci uczyć tylko żebraniny, bo Bogu od nas należy się przede wszystkim uwielbienie, wdzięczność, a dopiero potem możemy przedstawiać swe sprawy. Owa niewiasta uwielbiła najpierw Jezusa aktem wiary, a dopiero potem pomyślała o zdrowiu.

W świadomości naszej są niejaka trzy wymiary — mówi Łubieńska — ja, świat i Bóg. Dziecko urzeczone pięknością świata woła: ja i świat. Taki Newman powie: „ja i mój Stwórca“, a psalmista: „Niebo i ziemia pełna jest chwały Boga“. Do modlitwy potrzebny jest zmysł nieskończoności i cześć dla wielkości, wychowanie ma rozwinąć w dzieciach pęd i tęsknotę za prawdziwą wielkością. One mają kult wielkości i rwą się do Boga potężnego, szukają w Nim oparcia dla swej słabości. Pierwsi chrześcijanie dlatego czcili przede wszystkim Chrystusa Zmartwychwstałego, triumfującego. Ale aby wychować w poczuciu wielkości Boga i dla Niego trzeba samemu być świętym, człowiekiem modlitwy. — O rzeczach Bożych mówić z uszanowaniem, poważnie, nie ubierać prawd w dykteryjki, nie rzucajmy zasłony słów zbytecznych między duszę a Boga. Niewiasta milczała, a Pan Jezus wyraźnie mówi: „A modląc się nie mówcie wiele jak to czynią poganie“. (Mat. VI, 7).

Przede wszystkim nauczymy modlić się do Boga, a dopiero później można wyuczyć westchnień do różnych Świętych. Trzeba mieć nastawienie teocentryczne i to głęboko wpoić w umysł i serce dziecka. Również należy osłabiać egocentryzm naszych modlitw przez nawrót do modlitw starochrześcijańskich i liturgicznych.

Dziecięca modlitwa jest prosta, adoracyjna, bo dziecko nie ma kłopotów, zachwyca się dobrem i pięknem, starsi zaś muszą walczyć z rostargnieniami, z pokusami odciągającymi od składania czci.

Ucząc dzieci modlitwy nieraz musimy posługiwać się słowami, starajmy się jednak, by styl tych modlitw był zbliżony do modlitw liturgicznych. Są to modlitwy jasne, głębokie, życiowe i obiektywne.

Ażeby dziecko nauczyło się modlić, trzeba duszy jego, pamięci i wyobraźni dostarczyć odpowiedniego materiału, dać głębsze poznanie Boga. Również trzeba podsuwać intencje, by rozszerzyć skąpstwo przyrodzone serca. Modlitwa Pańska jest szkołą prawdziwej modlitwy. Tam dowiaduje się dusza o sprawach Ojca, o Jego Królestwie, znajdując w nim swoje miejsce. Uczy się, że celem modlitwy to oddawanie chwały Imieniowi Boga, pełnienie Jego Najśw. Woli, miłość bliźniego idąca do zapomnienia uraz, obrona przed złem grzechu. Modlitwa Pańska mówi, że wolno i trzeba prosić o chleb powszedni ale równocześnie o chleb dla duszy, o słowo Boże i Eucharystię, która daje siły do spełnienia wymagań Modlitwy Pańskiej.

Stopniowo stosownie do rozwoju tłumaczymy te prawdy ukryte w naszym codziennym pacierzu, by doprowadzić młodzież do rozumienia analizy jego podanej przez św. Teresę od Jezusa w jej „Drodze do doskonałości". Nic nie przeszkadza, że małe dzieci nie rozumieją w zupełności tej cudownej modlitwy. — Niech powtarzają jak umieją w pacierzu codziennym, w różańcu, we Mszy Świętej, w której zbawiennymi rozkazami upomnieni i Boską ustawą pouczeni odważamy się mówić Ojcze nasz, któryś jest w niebie, w niebie z aniołami i w niebie mojej duszy.

W modlitwie rozważać dzieci muszą dobrodziejstwa Boże, a odpowiedzią na to będzie życie moralne. Moralność zaś wymaga czystości, miłości i pracy nad sobą. Modlitwa wtedy spełnia swe drugie zadanie, jest czynnikiem pracy nad uświątobliwieniem, wyprasza nam potrzebne łaski, dziękuje za zwycięstwa, przeprasza za niedociągnięcia i niewierności. Bez pracy nad sobą modlitwa staje się bezduszną dewocją, która zraża ludzi do Kościoła i Boga.

W wielu miejscach Ewangelii spotykamy wypowiedzi Chrystusa Pana o modlitwie. W kazaniu na górze każe Zbawiciel wejść do komory i w skupieniu rozmawiać z Panem. W przypowieści o natrętnym sąsiedzie wskazuje na konieczność wytrwałej modlitwy. Podobne znaczenie ma scena z wdową i nieużytym sędzią. Modlitwa ma być ufna i z wiarą jak u Chananejki. Każe Jezus prosić, szukać i kołatać, własnym przykładem uczy dziękować, a w Ogrojcu powie: „Czuwajcie i módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie". W przypowieści o faryzeuszu i celniku wykazuje konieczność modlitwy pokornej. Sam nauczył modlitwy: Ojcze nasz i polecił: „modlić się trzeba zawżdy i nie ustawać" (Łuk. XVIII, 1).

W Wieczerniku zapewnia nas o skuteczności modlitwy zanoszonej w Jego imię: „O cokolwiek prosić będziecie w imię moje Ojca — to spełnię, aby Ojciec był uwielbiony w Synu" (Jan XIV — 12). Dlatego to Kościół każdą modlitwę kończy słowami: Przez Chrystusa Pana naszego...

Pierwszy Polski Dominikanin

Hojnie obdarowany od Boga był ród Odrowążów. Wyszło z niego kilka jednostek wybitnych jak w w. XII i XIII bł. Bronisława, świątobliwy Iwon, biskup krakowski, wreszcie św. Jacek, pierwszy dominikanin polski, z którym zapoznajmy się bliżej.

Ognisko jego rodzinne znajduje się w Kamieniu, w księstwie Opolskim. Właściwym jego imieniem jest Hyacynt (kamień drogocenny, o jakim wspomina Objawienie św. Jana i hyacynt kwiat). W rodzinie jednak wołają go Jacek — pod tym też imieniem przechodzi do potomności. Jest chłopczykiem, dziwnie skupionym i cichym. Zabawy go nie nęcą, natomiast dużo czasu spędza w kościele, modląc się najchętniej przed wizerunkiem Matki Boskiej, przez niego szczególnie umiłowanej. Znamiennym rysem jego charakteru jest miłosierdzie jakie zacni rodzice starannie w nim rozwijają. Oni też gdy oznajmia im swą wolę obrania stanu duchownego nie stawiają oporu.

Z kolei przechodzi Jacek w opiekę stryja, Iwona Odrowąża, kanonika i dziekana kapituły krakowskiej, człowieka świątobliwego o niezwykłych zaletach charakteru. Ten przeczuwając niejako w stosunku do bratanka wielkie zamiary Boże. zajmuje się nim gorliwie. Tak więc pobyt na dworze stryja staje się dla Jacka w pewnej mierze podwaliną pięknej jego przyszłości.

Kształci się wespół z bł. Czesławem. Kanonik czuwa, by obaj chłopcy osiągnęli wysokie wykształcenie i wyrobienie duchowe. Uzdolnieniem swym Jacek w zupełności odpowiada zamierzeniom stryja, pozostaje też wytrwałym w zamiarach obrania stanu kapłańskiego.

O święceniach jego, jak też prymicjach nie posiadamy żadnych danych. Biskup krakowski Kadłubek, ceniąc go wysoko, już w młodym wieku mianuje go kanonikiem, później archidiakonem, a tym samym powołuje go do służby u swego boku.

W działalności swej Jacek szybko zdobywa sobie przychylność ludności. Dom jego i serce otwarte są dla cierpienia i nędzy. Osobiste życie jego cechuje modlitwa i umartwienie.

Podróżuje wiele. Jest w celach studiów prawniczych i teologicznych w Paryżu, Pradze i Bolonii. Udaje się tam przeważnie w towarzystwie kanonika Iwona, oraz bł. Czesława W zwiększonym gronie, bo z 2 konwersami: Hermanem Niemcem i Henrykiem z Moraw podejmuje podróż do Rzymu, tak znamienną w dalsze dla Jacka wypadki. Droga jest długa i uciążliwa. Nareszcie zdrożeni wędrowcy przybywają do celu, by niemal na wstępie zetknąć się w kościele św. Sykstusa z wspaniałą postacią św. Dominika. Późniejsza osobista z nim znajomość powoduje Jacka i jego 3 towarzyszy do wstąpienia

---

Niewiasta odeszła uzdrowiona, Jair pocieszony, taki jest skutek modlitwy, napełnia ona szczęściem i pokojem, choćby przychodziła z trudem. Modlitwa daje pogodne i poważne patrzenie na życie, wzrost w cnotach, świętość.

Czy będziemy ją lekceważyć? Czy raczej z uczniami pójdziemy do Jezusa i poprosimy: Panie naucz nas modlić się. Tak, tylko Duch Święty nauczy nas tej sztuki nad sztukami, tej codziennej naszej daniny i naszego pokrzepienia.

S. Barbara Żulińska.

w szeregi braci jego zakonu. Po odbyciu nowicjatu i złożeniu ślubów wszyscy trzej ruszają w drogę powrotną. Idą wolno, zatrzymując się w różnych krajach, celem wygłaszania kazań, jednania grzeszników z Bogiem, zakładania klasztorów. Na Morawach pozostaje Henryk w roli przeora, do Pragi czeskiej zaś rusza w celach misyjnych bł. Czesław.

Z Krakowa na spotkanie Jacka wyrusza w pochodzie duchowieństwo, ludność miasta, z księciem Leszkiem Białym na czele.

Podanie głosi, iż ten ostatni w pewnym momencie staje olśniony, a potem pada Jackowi do nóg.

Zakonnik podnosi go z klęczek. Taka cześć należy się tylko Bogu — mówi zmieszany. Cóż dziwnego, że hołd Ci składam — widząc nad Tobą Matkę Bożą — odpowiada książę.

Jacek w rozeznaniu opieki Tej, której całe życie był najwierniejszym synem, pełen radości wstępuje u progu nowego życia z modlitwą dziękczynną w mury katedry wawelskiej.

Otrzymawszy od biskupa do swego użytku kościół św. Trójcy, przy którym rozpoczyna się budowa klasztoru, Jacek przystępuje do pracy, zyskując w krótkim przeciągu czasu sławę wybitnego kaznodziei. Potęgą słowa, pięknem wymowy porywa słuchaczy — następuje widoczna poprawa obyczajów, stanowczy zwrot ku życiu religijnemu. Jakby w nagrodę za gorliwość i podejmowane trudy Matka Najświętsza ukazuje się Jackowi wielokrotnie w nadziemskich widzeniach, udzielając sił i pomocy do dalszych wysiłków. Posiada on też moc uzdrawiania chorych i wskrzeszenia umarłych. Wiadome są również wypadki cudownego przysparzania przez niego zgłodniałym, w czasie pomoru i dżumy — zapasów żywności. Stąd utrwaliło się znane powiedzenie ludowe: „A przychodźże święty Jacku z pierogami". Zakłada i kieruje klasztorami w Oświęcimiu, Sandomierzu, Wrocławiu, w którym jako przeora osadza bł. Czesława. Zabiega o sprawy misyjne. Dąży wraz z braćmi na Mazowsze, do Prus. Całymi nocami wyprasza sobie w modlitwie umiejętność i łaskę zdobywania dusz. Utworzywszy klasztory na Pomorzu kieruje swe kroki na Litwę i Żmudź, gdzie osadza na biskupstwie bł. Wita, dominikanina. Wędruje dalej, docierając przez kraje nadbałtyckie aż do Szwecji. — Jest na wyspach Śródziemnomorskich; w Mongolii. — Wszędzie dąży nieustraszenie, pokonując największe trudności. Zapalony bojownik Boży idzie powodowany najwyższą miłością, nie lęka się, a zapewne nawet pożąda męczeństwa. Odmienną jest wszakże wola Boża. Poprzez wszystkie zmagania i niebezpieczeństwa prowadzi go ona z powrotem w mury Krakowa.

Bawiąc w Kijowie, przywraca wzrok ociemniałej córce panującego ks. Włodzimierza, jak również przywołuje do życia konającą kobietę. Z wdzięczności przyczyniają się obie do ufundowania kościoła i klasztoru na przedmieściu Kijowa.

Wiara katolicka nie panuje jeszcze na Rusi jednolicie. Jacek dowiaduje się, iż sporadycznie zdarzają się zabobony pogańskie. Tak np. na pewnej wyspie ludność oddaje cześć ogromnemu dębowi. Jacek spieszy w te strony. Przekonuje ludność, iż od uderzenia jego laski dąb padnie strzaskany. I rzeczywiście, dzieje się tak, jak mówi. Spłoszonych i rozczarowanych tym wypadkiem pogan wymową swą stara się teraz przyciągnąć na stronę katolickiej wiary.

Olbrzymim wysiłkiem, niestrudzonym nakładem pracy dokonuje Jacek wspaniałego żniwa na niwie Bożej, a wraz z jego pionierskim pochodem rośnie też znaczenie i rozszerzają się granice Polski. Wiele z tych krajów bowiem, jak Pomorze, Inflanty, Litwa, Ruś do niej się przyłączają.

Wreszcie nadchodzi chwila, gdy zupełnie wyczerpany u kresu swych sił przeczuwa zbliżający się kres życia. Zamyka się w klasztorze, pragnąc

Trzy cnoty społeczne

Sprawiedliwość jest matką szeregu cnót społecznych. W pierwszym rzędzie posłuszeństwa*). Z nim łączą się ściśle cnoty czci, szacunku i wdzięczności.

Nadprzyrodzona moralna (obyczajowa) cnota czci może uchodzić pozornie za identyczną z cnotą religijności (pobożności), kogóż bowiem najbardziej należy czcić na świecie, jeśli nie Boga? Można by więc sądzić, że cnota czci przede wszystkim Boga ma za przedmiot, tak jak go ma cnota religijności. Lecz nie ma tu tożsamości, tylko podobieństwo treści. Czym bowiem cnota religijności w stosunku do Boga, tym w pewnej mierze cnota czci w stosunku do ludzi. W pewnej mierze — gdyż zakres i sposoby oddawania czci Bogu są inne, szersze, pełniejsze, niż objawy czci względem ludzi i dlatego do oddawania czci Bogu służy wyłącznie cnota religijności, podczas gdy cnota czci dotyczy tylko ludzi. Mają jednak obie te cnoty wspólną podstawę, wynikającą ze wspólnego podłoża, jakim w obu wypadkach jest cnota sprawiedliwości, a mianowicie oddania każdemu tego, co mu się należy. A zatem Bogu czci boskiej, ludziom czci ludzkiej.

Cnota czci jest wyjątkowo uprzywilejowaną jeśli chodzi o jej pochodzenie ustawodawcze, bo jest ona wymieniona już w najstarszym naszym zbiorze norm obyczajowych, jakim jest dekalog czyli 10 przykazań boskich. Występuje tu ona jednak jako nakaz czci względem rodziców, tj. tych ludzi, którym po Bogu każdy człowiek zawdzięcza

*) Mowa o nim była w poprzednim artykule.

---

w samotności i skupieniu gotować się do ostatniej podróży. W dzień św. Dominika zapada obłożnie na zdrowiu. Otoczeniu też jasnym się staje, iż z choroby tej już się nie podźwignie. Polecając braciom, jako ostatnie zlecenie, gorliwą pracę około zbawiania dusz, pełen promiennej radości odchodzi na spotkanie Boga.

W chwili jego konania, krewna jego bł. Bronisława, zakonnica SS. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie, doznaje objawienia. Widzi świetlaną drogę, wiodącą z klasztoru św. Trójcy do nieba. Po niej Najśw. Panna oraz chóry anielskie wiodą dominikanina do Królestwa Bożego. Wśród ich pieni radosnych nad całym orszakiem zamykają się błękity.

Podobne widzenie ma również biskup Prandota, następca Iwona. Biało odziani młodzieńcy postępują z zapalonymi świecami. Pochód ów zamyka biskup Stanisław Szczepanowski oraz Jacek Odrowąż z podwójną koroną na głowie.

Biskup Prandota spieszy czym prędzej do OO. Dominikanów, uradować ich szczęściem Zmarłego.

Liczne cuda u jego grobu domagają się beatyfikacji. — Dopiero wszakże w r. 1594 proces kanonizacyjny uwieńczony jest powodzeniem. Papież Klemens VIII wynosi Wielkiego Misjonarza na ołtarze.

Maria Jelińska

dwa najcenniejsze dary, jakim jest życie i wychowanie. — Rozciąga się ona jednak na wszystkie te osoby, które w pewnej mierze i w pewnych okolicznościach są zastępcami rodziców, tj. wychowawców (spokrewnieni lub obcy) oraz na tych wszystkich ludzi, którzy jako członkowie najbliższych danemu człowiekowi grup społecznych są rozszerzonym pojęciem jego rodziny. Zwłaszcza zaś zasługują na cześć oficjalni przedstawiciele i kierownicy tych grup społecznych.

W czci należnej inym osobom zawarta jest pewna domieszka bojaźni. W początkach jest to lęk o charakterze egoistycznym, obawa przed gniewem i karą w razie wykroczenia w czymśkolwiek przeciwko ich woli, ale — w miarę wzrostu miłości do tych osób — bojaźń ta nabiera innej barwy, jest to już raczej lęk, by ich niczym nie obrazić nie ze względu na samego siebie, ale na nich samych, by im nie sprawić przykrości, nie zasmucić; nie przyczynić zgryzoty.

Dowodem jak silnie zakorzeniona jest w psychice ludzkiej konieczność oddawania czci rodzicom, jest znana opowieść biblijna. Cham, syn Noego, który szydził z ojca, stał się nie tylko symbolem braku czci względem rodziców, ale imię jego stało się nawet synonimem braku szlachetności w ogóle.

Wykroczeniami głównymi przeciwko czci rodzicielskiej są zniewagi, obelgi, złorzeczenia, żale nieuzasadnione, nienawiść, życzenia złego, ze śmiercią włącznie, pogarda za posiadane wady, za niższe pochodzenie, obojętność na choroby i niedostatek, chęć przejęcia jak najrychlej ich mienia itp. Odmiennego rodzaju wykroczeniem jest zbytnie poufalenie się, które nieraz znajduje swój wyraz w mówieniu rodzicom przez „ty".

Cześć dla osób innych niż rodzice zwraca się w pierwszym rzędzie do tych, którym po rodzicach zawdzięcza się najwięcej dóbr. Należy się więc ona przede wszystkim przedstawicielom państwa i Kościoła. Bez nich bowiem rodzina nie podołałaby, zwłaszcza w dzisiejszych, kulturalnie skomplikowanych czasach, swym obowiązkom względem dzieci. Przedstawiciele państwa, podobnie jak rodzice, zasługują na cześć w swym charakterze oficjalnym, bez względu na swe osobiste zalety czy wady. Reprezentują oni bowiem to wszystko, co w pojęciu każdego obywatela nazywa się ojczyzną, a więc ziemię, rodaków, godła, hymny, hasła, obyczaje, zwyczaje, język, zabytki, historię, a są to wszystko dobra i wartości przekazane zbiorową pracą pokoleń, tj. ojców i przodków. Są to w najszerszym pojęciu dobra rodzime, ojcowizna, w której się żyje, z której się czerpie i korzysta, jak z majątku przekazanego w ciaśniejszym zakresie przez rodziców. Wszystkie te dobra otaczać należy czcią, a więc i ludzi, którzy stoją na ich straży i dobra te reprezentują, uosabiają.

Przy czci oddawanej przedstawicielom Kościoła zachodzą momenty o charakterze nadprzyrodzonym. — Źródłem jej jest wiara w boskie pochodzenie Kościoła, tj. że został on

ustanowiony przez Chrystusa, z którym nas nadal łączy. Jak i w innych wypadkach nie należy mieszać osobistej wartości przedstawicieli Kościoła — która może być różna — z ich oficjalnym charakterem, reprezentują oni bowiem skarbiec nadprzyrodzonych dóbr, jak wiara i wiedza religijna, obrzędy święte, symbole, obyczaje, sztukę religijną itp.

Ta cześć dla starszyzny rodzinnej, państwowej i kościelnej i analogicznie innych grup społecznych została przez Boga ustanowiona i konieczna jest ona do utrzymania porządku społecznego i ciągłości kulturowej, które ułatwiają życie społeczne. Należy się jej ona — jak w rodzinie — z racji pochodzenia lub — jak przy innych grupach społecznych — z tytułu piastowanych urzędów o dużym znaczeniu społecznym.

Drugą ważną cnotą społeczną jest szacunek. Jest to usposobienie duszy, które obowiązuje ludzi względem siebie, nie z tych przyczyn, jakimi rządzi się cnota czci, a więc raczej z racji obiektywnych, ale z tytułu ich subiektywnych czyli osobistych wartości. Do szacunku ze strony innych ludzi ma prawo każda jednostka ludzka, już z tego tytułu, że każdy człowiek jest istotą rozumną, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże i odkupioną krwią Chrystusową. Nawet ci ludzie, którzy przez nieodpowiednie prowadzenie sami siebie nie szanują, winni być szanowani przez innych ludzi, gdyż może to się stać dla nich motywem powstania ze swego upadku moralnego.

Na tym większy szacunek zasługują ci ludzie, którzy posiadają pewne wartości indywidualne. Jedni posiadają starszy wiek, któremu towarzyszy zwykle większe doświadczenie życiowe, inni doszli do odpowiedzialnych stanowisk, na których działają lub mogą dla dobra szerszego ogółu. Na szacunek zasługują zarówno ludzie, którzy zdobyli wiedzę lub którzy pracują fizycznie powiększając przez nią dobra kultury, jak i ci, którzy przez pracę nad własnym charakterem posiadają liczne cnoty. Nie ma człowieka, który by z jakiegoś tytułu nie zasługiwał na szacunek swych współbliźnich, bo każdy ma jakieś zalety, cechy, właściwości, dające mu prawo do szacunku.

A wreszcie trzecią ważną cnotą społeczną jest wdzięczność. O ile jednak tamte dwie cnoty charakteryzują się pewną powagą, to tej towarzyszy coś w rodzaju uśmiechu słonecznego. Nie może się jej nikt domagać dla siebie z tytułu ścisłej sprawiedliwości, ale jest ona dowodem szlachetności uczuć, braku egoizmu i — jak powiada św. Augustyn — jest wielką pamięcią o cudzej przyjaźni i usługach oraz chęcią odwzajemnienia się.

Ona też — w odróżnieniu od obu poprzednich swych towarzyszek — przekracza granice społeczności ludzkiej i wstępuje aż do tronu Boga. Z kolei zwraca się do rodziców, przełożonych i dobroczyńców wszelkiego rodzaju.

Na cnotę wdzięczności składa się kilka składników. Po pierwsze trzeba uznać, że ktoś coś dla nas dobrego uczynił, następnie trzeba mu za

to podziękować, a wreszcie starać się mu odwdzięczyć. Wydawać by się mogło, że nie są to akty trudne do wypełnienia, a jednak ludzie pyszni i o wygórowanej miłości własnej dalecy są od uznania, że cośkolwiek komuś zawdzięczają, gdyż daje mu to pewną jakby przewagę nad nimi, zobowiązuje do rewanżu, do wdzięczności, do której ich ciasne i małoduszne serca nie są zdolne. Bywają i tacy, co nie tylko nie uznają dobra sobie wyrządzonego, odtrącają je w danym wypadku, ale co gorzej złem za dobre odpłacić się potrafią — otrzymane więc dobrodziejstwo traktują, jako krzywdę. Psychologicznie można sobie to wyjaśnić w ten sposób, że otrzymane dobro było dla nich okazją do upokorzenia, było zatem w ich oczach złem, które należy pomścić. Oto do jakiego spaczenia doprowadzić może nieuporządkowana miłość własna.

Na istotę dobrodziejstwa składają się dwa czynniki: treść dobrodziejstwa, tj. to, co komuś uczyniono i intencja w jakiej daną rzecz uczyniono. Ważniejszym czynnikiem jest oczywiście intencja, jako że dobra intencja podnosi wartość najmniejszego nawet uczynku. — Wdzięczność winna więc brać pod uwagę nie tylko co, ale i dlaczego coś uczyniono. I nawet jeśli dobroczyńca miał pewną korzyść z okazji wyświadczonego dobrodziejstwa nie umniejsza to tytułu do wdzięczności, jeśli kierował się w jego wyświadczeniu dobrą intencją.

Ze składników wdzięczności najważniejszym jest podziękowanie, czyli okazanie uczucia wdzięczności nie zawsze bowiem istnieje możność faktycznego odwzajemnienia się jakimś uczynkiem. W rewanżu trzeba zresztą okazać dużą delikatność, aby nie wyglądało, że się po kupiecku odpłaca za otrzymaną przysługę lub dar.

Podstawą wdzięczności jest pokora, która chętnie uznaje, że człowiek nie ma wszystkiego ze siebie samego, że winien jest niejedno innym ludziom i nie ukrywa tego we własnym tylko wnętrzu, lecz skwapliwie daje temu wyraz zarówno w szczerym podziękowaniu, jak i w pamięci i w odwzajemnianiu się w miarę możności za otrzymane dobrodziejstwa.

Nie trudno zrozumieć, jak duże znaczenie mają omówione trzy cnoty dla życia społecznego. — Cześć i szacunek reguluje stosunki międzyludzkie z punktu widzenia piastowanych stanowisk i wartości osobistych ludzi, wdzięczność zaś łączy ich serdeczną więzią, ze względu na wzajemnie świadczone sobie przysługi. Wszystkie trzy biorą przy tym pod uwagę gradację stanowisk i wartości przy czym wdzięczność wykracza poza ramy społeczeństwa ludzkiego i wiąże serca i czyny ludzkie również z samym Bogiem, największym dobroczyńcą ludzkości. Bez tych cnót społecznych społeczeństwa byłyby zbiorowiskami niechętnych, a co najmniej obojętnych sobie ludzi, których współżycie byłoby w nieznośny sposób czcze i zimne. Cześć, szacunek i wdzięczność nadają natomiast współżyciu ludzi znamię wzajemnego uznania i serdeczną współpomoc.

Felicja Żurowska

„Źródło wody żywej"

List XXIII — zamiast do Krystyny do pani Izabeli.

Droga, bardzo droga Pani!

Nie będę Pani dziękował, choć doprawdy jest za co. Nie będę się też rozwodził nad wrażeniem jakie wywarł na mnie Jej list. Wystarczy chyba jeśli w kilku słowach opowiem Pani w jakich okolicznościach go czytałem. Było to na ulicy. — Szedłem wolno, przystawałem chwilami sam o tym nie wiedząc. Potrącali mnie przechodnie, dudniły tramwaje, warczały motory, rozlegały się dzwonki i trąbki. Jakiś głośnik uliczny, pod którym stałem dłuższą chwilę, transmitował skocznego krakowiaka. Lecz w miarę jak zagłębiałem się w lekturę Pani listu narastała wokół mnie wielka cisza. Miejsce mrozu i szarego nieba zajmował stopniowo piekący żar upalnego dnia. Nie byłem już na rojnej ulicy połowy dwudziestego wieku. Tu, o parę kroków, przede mną leżał o wiele bardziej od niej konkretny i rzeczywisty ten folwark który ongiś „Jakub dał Józefowi, synowi swemu". Na ocembrowaniu wiekowej studni siedziała postać przytłoczonego upałem wędrowca. Zboczem schodziła druga postać niosąca dzban na głowie. „Godzina była jakoby szósta".

Droga Pani Izabelo! Choć nie widzieliśmy się nigdy, a dopiero wczoraj miałem szczęście i doprawdy wielki bardzo zaszczyt zawarcia znajomości z Panią, (a i to słusznie), nazwisko swoje osnuła Pani tajemnicą, to jednak, niech się Pani nie zdziwi, iż pozwolę sobie mówić z Nią, jak gdyby była jedną z najbliższych mi na świecie osób. Gdyż od pierwszej chwili naszego poznania wcieliła się Pani dla mnie w jedną z najbliższych mi ewangelicznych postaci.

Mam wrażenie, iż sama Pani nie uświadamia sobie do jakiego stopnia sprawa Jej jest niemal że w każdym szczególe analogiczna ze sprawą, która się rozegrała przed dwoma tysiącami lat u wrót miasteczka Sychar. Sprawa która na przestrzeni tych dwóch tysięcy lat miała wiele, bardzo wiele sobie podobnych. — Choć przyznam się, iż osobiście nie znam bodaj żadnej, która by ją tak identycznie powtarzała, jak opowieść zawarta w liście Pani. Toteż zechce Pani wybaczyć, iż przytoczę Jej niektóre fragmenty. „Nie sądzę, abym przystąpiła do małżeństwa lekkomyślnie, lub bez krzty dobrej woli. Ale chciałam być szczęśliwa. Chciałam, żeby mnie mąż kochał, żeby mi dogadzał, żebyśmy rzeczywiście żyli jedno dla drugiego. Bardzo szybko się pomiarkowałam, że tak nie jest, i nigdy nie będzie. — Dzieci mam troje. — Jeśli chodzi o dzieci, to mogę sobie wystawić świadectwo, iż miałam jak najlepsze chęci, marzyłam o macierzyństwie. Ale doprawdy nie zdawałam sobie nawet w przybliżeniu sprawy, że wychowanie dzieci jest sprawą tak trudną i tak beznadziejną. Toteż nie rodzenie dzieci mnie przerażało.

Ból porodu i wszystkie fizyczne cierpienia związane z macierzyństwem wydawały mi się o tyle sensowne i logiczne, że przynajmniej owocne. Ale wychowanie!... I dziś nawet, po całej odmianie, jaka się we mnie dokonała, gotowam powiedzieć iż wolałabym z największym trudem dziesięcioro dzieci urodzić, niżeli chociażby jedno wychować.... Jestem urzędniczką. Gdy pomyślałam o tym, iż po całodziennym zmęczeniu wrócę do domu, do wrzasku dzieci, do męża, który od wszystkiego odgrodzi się płachtą gazety i nie okaże żadnego zainteresowania moimi sprawami... zaczęłam po prostu do domu nie wracać, a raczej wracać tak późno, ażeby tej całej męki było jak najmniej. A potem już wszystko potoczyło się tak jak się nieuchronnie potoczyć musiało. Najpierw kolega biurowy, którego nie nużyły moje zwierzenia i skargi, który potrafił zainteresować się i pocieszać. Byłoby doszło do rozwodu, gdyby nie to, że człowiek, którego pokochałam, lub zdawało mi się, że pokochałam, zmarł nagle na piorunujące zapalenie płuc. Stwierdziłam, że jestem w ciąży. Próbowałam samobójstwa, ale to się znów nie udało. Wtedy, oczywiście nie pozostawało mi według moich ówczesnych pojęć żadne inne wyjście jak zbrodnia. Ale to niczego nie zakończyło, nie zmieniło...

Ilu było potem jeszcze ludzi, z którymi starałam się oszukiwać pożerający mnie głód kochania i serdeczności (bo proszę mi wierzyć) nie sądzę, aby tu temperament odgrywał główną rolę — to już chyba obojętne. Oczywiście między moim mężem, (który nie wiem do dziś, czy wiedział wszystko czy nie wiedział, czy udawał, że się niczego nie domyśla, czy rzeczywiście tak mało się interesował moimi sprawami, iż zadawalniał się tym, że nie odchodzę od niego i nie wywołuję publicznego „skandalu") i dziećmi, które wychowywały pół na pół ulica i stara, niedołężna ciotka — wyrosła zapora nie do przebycia, gorsza od nienawiści, zapora całkowitej obojętności i wzajemnej ucieczki..."

Śmiem ufać, iż droga Pani zrozumie, że jeśli pozwoliłem sobie przypomnieć te słowa, których treść zna Pani jeszcze lepiej od mnie, to tylko dlatego, aby na ich tle dostrzec Pani mogła całą wymowę tamtych słów, tamtej króciutkiej, a jakże cudownej sceny.

„Po prostu padał ulewny deszcz, a nogi mnie strasznie bolały... Na drodze stał kościół. Przynęciła mnie tylko myśl o dachu i ławce... I nie będę usiłowała ująć w słowa tego, co się wtedy, pod tym dachem we mnie dokonało..."

„...ale jak nadać temu wszystkiemu, co dziś we mnie żyje realny sens. Jak odrobić to wszystko, co było?... Jak przekonać tych, którzy na moje dzisiejsze zrywanie się świtem, by pójść do Komunii św., na moje powroty prosto z biura do domu, by tym domem się zająć, na moje wysiłki, by jakoś zbliżyć się do moich podrastających dzieci, na moje pacierze odmawiane na klęczkach, patrzą jak na jedną więcej ekstrawagancję osoby zawsze nieobliczalnej? Nie dawno słyszałam, jak jedna z moich koleżanek biurowych, z którą pracujemy razem już

od wielu lat, mówiła drugiej: „Izabela się starzeje, to i wpada w dewocję“... to jest widzi Pan przekleństwo naszych grzechów. Można je odpokutować w Obliczu Tego który jest samym Miłosierdziem. Ale nie w obliczu ludzi... I chyba przedsmakiem piekła, które mi przez tyle lat groziło, jest to uczucie, iż oni, ci moi najbliżsi, idą ku swemu potępieniu, z mojej winy. A logiczne następstwo tej winy jest już nieodwracalne, „...a zresztą jakżebym sama miała śmiałość apostołować, pamiętając to wszystko, co było...“

Pani kochana, proszę nie myśleć, iż pozwalam sobie na zabawę w paradoksy. Już dawno nie było mi tak poważnie na duszy, jak w tej chwili. Ale czy się to wyda Pani paradoksem czy nie, śmiem powiedzieć, iż to co wydaje się Pani katastrofą nieodwracalną, jest właśnie największym apostolskim atutem w Pani rękach.

Najserdeczniej pozwolę sobie Panią poprosić, by zechciała po otrzymaniu mego listu wziąć do ręki ten „Nowy Testament“, który jak Pani pisze — był pierwszym sprawunkiem załatwionym przez Nią po wyjściu z kościoła, który „nęcił tylko dachem i ławkami“. W ciszy nocnej, gdy będzie Pani pewna, że nikt Jej nie przeszkodzi w lekturze i rozmyślaniu, proszę odszukać rozdział z Ewangelii św. Jana, zatytułowany: „Jezus rozmawia z Samarytanką“ i dwa następujące po nim podrozdziały. Proszę przetrawić każde słowo tego rozdziału; nawet słowa, które wydadzą się Pani mało ważne, jak np. to zdanie: „A musiał przejść przez Samarię“. Musiał przejść, bo tam był ktoś, kto pijąc nieustannie z ziemskich źródeł, nie zdołał zagasić pragnienia. I tak samo „musiał“ stanąć na Pani drodze w chwili, gdy padał deszcz i nogi tak bardzo bolały.

Wyraziwszy tę prośbę, powinienem i ja nie przeszkadzać Pani dalej w czytaniu tego rozdziału, pozostawić Panią sam na sam z Dawcą wody żywej u Jakubowej studni. Bo w opisie ewangelicznym znajdzie Pani takie sprawozdania niedwuznaczne jak to, że sam Chrystus Pan rozkazał Samarytance, by przywołała doń męża swego. Jak to, że sama niewiasta, którą w jednej chwili porwała wiara i rozpłomieniła miłość, zamiast pogrążyć się w jałowym żalu, zostawiła swe wiadro, gdzie stało, by w apostolskim porywie gnać z powrotem do rodzinnego miasta. Czyżby zapomniała o wszystkim, co było, o swoich winach i swej reputacji?... Wszak dźwięczały jej jeszcze w uszach słowa wędrowca streszczające całe jej życie. Ale to jej nie tylko nie wstrzymywało, przeciwnie przyśpieszało jej kroki. Bo trzymała w ręku argument nie do odparcia. „Pójdźcie, a oglądajcie człowieka, który mi powiedział wszystko, cokolwiek czyniłam“. A z miasta onego wielu Samarytan uwierzyło weń, dla słowa niewiasty świadectwo dającej“. Narzędziem apostolskim tych wielu nawróceń, była grzeszna przeszłość, z olśniewającą pokorą zdyskontowana na korzyść miłości i prawdy.

Cała cudowna i niezrównana wymowa sprawy Samarytanki polega chyba przede wszystkim na tym,

że — po ludzku mówiąc — „trafiła" na Boga przypadkiem i niechcący. To On na nią czekał, On uczynił pierwszy krok, uczynił wszystkie kroki. Magdalena przyszła ku Chrystusowi Panu świadomie, dobrowolnie, przedzierając się ku Niemu pod chłostą szyderczych spojrzeń. Uprzedziła ją oczywiście Łaska, bez której żadne nawrócenie odbyć się nie może, ale dołączyła ona do Łaski wiele wysiłków własnych i własnych ofiar. Natomiast w sprawie Samarytanki całego cudu dokonał On i tylko On, który wszystkich dokonywa cudów. W dokonaniu się tego cudu nie było żadnego wysiłku, żadnego jej pragnienia. I dlatego może właśnie, spośród wszystkich niewiast ewangelicznych jej została od razu powierzona misja apostołowania. Bo jedynymi niezbitymi argumentami apostolstwa pozostaną zawsze argumenty pokory: głoszenie Bożej wszechwiedzy, wszechmiłosierdzia, słowami stwierdzającymi co w nas ongiś było, a co za Jego Łaską w nas dziś jest.

Samarytanka, z powodu której Chrystus Pan wspomniał uczniom swoim o bielejących żniwach, kojarzy mi się zawsze z postacią Apostoła narodów. Pomiędzy wodą Jakubowej studni, a gromem drogi damasceńskiej istnieje głębokie i nierozerwalne powinowactwo. — I tu i tam ta sama — po ludzku mówiąc — przypadkowość i tu i tam poprzedniego dnia nieznajomość daru Bożego i Tego Który przemawia. — I tu i tam pierwszy odruch spontaniczny, a tym śmielszy, iż opierający się na świadectwie własnych błędów, odruch ku światu, ku głoszeniu prawdy. Prawdy Bożej odbijającej się tym jaskrawiej na ponurym tle prawdy ludzkiej. Odruch, który już nie osłabia, ale będzie kroczył od zwycięstwa, do zwycięstwa, dlatego że ściele się jedyna droga do Prawdy wiodąca: droga Pokory.

Cuda Łaski, cuda nagłe i w oczach ludzkich niczym zdawało by się nie umotywowane, są jak mniemam najwspanialszym świadectwem oddanym Wszechpotędze. Serca, które nade wszystko umiłowało. Cudami zwiemy uleczenie ciała, rozprostowanie zniekształconych członków. Ale czyż w istocie woda żywa, zastępująca wodę ziemskich studni, nie jest głośniejszym świadectwem Wszechmocy Bożej, niżeli uzdrowienie paralityków i niewidomych?... A przemiana Szawła czyż nie jest bardziej jeszcze konkretnym dowodem istnienia Boga i Jego miłości, niżeli wskrzeszenie Łazarza?...

Powiem więcej jeszcze. Wydaje mi się, iż naprawdę żywiołowo i przekonywująco apostołować — bez obawy, że wpadnie w ten największy grzech jakim jest pycha — zdoła tylko ten, który głosi prawdę przy akompaniamencie wspomnień całego zła, które poprzedziło w nim objawienie Łaski. Przez zło nie mam tu tylko na myśli grzechów takich, jak te, które Chrystus Pan wypomniał Samarytance, i te o których Pani wspomina. Grzechy powołania małżeńskiego i rodzicielskiego są rozliczne i różnorodne, a wiele z nich chyba jeszcze cięższe, niż wykroczenia przeciwko wierności. —

A jednak wszystkie, jeśli zostały w blaskach pokory dostrzeżone, sercem zdruzgotanym miłością wypłakane, stają się nierozkruszalną opoką na której się opierając, można najskuteczniej głosić Prawdę.

Pragnąc wywdzięczyć się Drogiej Pani za okazane mi przez Nią zaufanie dodam jeszcze, że moje listy do Krysi — które stały się powodem zwrócenia się Pani do mnie — są też skromnym potwierdzeniem tego mojego przekonania iż pierwszym obowiązkiem długoletniego grzesznika jest apostołować w oparciu o własne błędy, ukazane mu w świetle Łaski. Jeśli na kartach tych listów tak często pojawiają się pozornie apodyktyczne słowa „trzeba" lub „nie wolno" to nie dlatego abym z wyżyn jakiegoś urojonego autorytetu ośmielał się prawić innym morały a dlatego iż wiem, że pod niewinnie wyglądającą łąką kryje się trzęsawisko, w którym sam grzązłem przez wiele lat. Jeśli wołam „trzeba", to dlatego, iż z własnego doświadczenia wiem, iż tylko to „trzeba", opatrznościowo ukazane mi w ostatniej chwili, uratowało mnie nad krawędzią przepaści w której gotów byłem skręcić kark.

Droga, najbliższa siostro! Proszę mi wierzyć, że wystarczą te dwie rzeczy: Pokora niesłabnąca i miłosna prośba o wytrwanie, a apostolstwo Pani, doczeka się radości, która weseli się z siejby i żniwa. Niech sobie ludzie mówią, że Pani się starzeje i dlatego wpada w dewocję. Przede wszystkim nie przekroczona jeszcze czterdziestka jest wiekiem dalekim od starości i od „dewocji" w którą się wpada dlatego, że wszystko ziemskie już przestało nęcić. Kobiety które całą młodość przeżyły wzorowo, bywają w wieku Pani nieraz osaczane właśnie najsilniejszymi pokusami, którym często nie umieją się oprzeć. Fakt więc, iż Panią właśnie w tym wieku poraziła Łaska, zachowuje całą swoją nadprzyrodzoną wymowę i zdolność przekonywania. Tylko trzeba, ażeby się ludzie przekonali, zarówno rodzina Pani, jak i Jej koledzy i znajomi, że ta przemiana nie jest chwilową ekstrawagancją nieobliczalnej osoby. Gdy będą widzieli, iż każdy Pani czyn, słowo, gest, świadczy o odmianie jaka się w niej dokonała, to powoli przyjdą refleksje. I wtedy okaże się, że podobnie jak u Samarytanki, ponura przeszłość (z pewnością znana całemu Pani otoczeniu, takich rzeczy nie da się długo ukryć) stanie się w ręku Pani argumentem bardziej przekonywującym ludzi o istnieniu Miłości i Miłosierdzia, niżeli nienaganne życie osoby, której nigdy nie musnęła ani pokusa, ani grzech, ale też nie nawiedziła nigdy pokora wiodąca podświadomie ku spotkaniu z Łaską.

Proszę pamiętać o mnie, droga Pani! Pamiętać w bratniej modlitwie, do której ze swej strony już Panią od wczoraj włączyłem. Zbliżają się Święta Wielkanocne. Święta, które właśnie nam, grzesznikom, mają wiele do powiedzenia. Oto Pan nasz Zmartwychwstał w sercach naszych. Droga Pani! Sam, władczym gestem, odwalił kamień którym uśmierciwszy go w sobie, przytłoczyliśmy Jego grób. Zmartwych-

Źródło zła

Pierwszy anioł stworzony w stanie łaski nie oglądał Boga twarzą w twarz, wiedział tylko, jak jest piękny, potężny, co mu dawało przedsmak szczęścia, do którego go Bóg powołał. Mimo to nie cały zastęp wytrwał w swym powołaniu. Wiemy o tym z Pisma świętego: „Widziałem szatana jako błyskawicę, z nieba spadającego". Prorok Izajasz widzi spadającego z niebos anioła, upadłego, jako gwiazdę spadającą. I św. Jan w widzeniu swoim opisuje walkę z upadłymi aniołami i ich upadek. Ojcowie Kościoła piszą, że okazją do tej rozprawy stało się objawienie aniołom, że Bóg stworzy człowieka, że przyjmie sam naturę człowieka i że Bóg-Człowiek będzie królował stworzeniom. Aniołowie widząc się pominiętymi w tej unii Boga z człowiekiem, zbuntowali się. Bóg strącił zbuntowanego anioła w przepaść. Czemu Bóg narażał się na odstępstwo? Czemu Bóg nie uczynił anioła od razu utwierdzonym w łasce? Czy Bóg nie poniósł porażki przez odstępstwo duchów czystych a potem człowieka? Gdybyśmy nie wiedzieli, że Bogu na imię miłość, stalibyśmy bezradni wobec tego pytania, bo istotnie bez upadku byłoby więcej duchów wielbiących Boga. Ale fakt ten tłumaczy się większą miłością Boga.

Gdyby Bóg od razu postawił człowieka w stanie oglądania siebie, Anioł czy człowiek nie mógłby odpaść od Boga, ale korzystałby z jałmużny używając jego darów. A to nie jest szczęście najwyższe w stworzeniu rozumnym, aniele czy człowieku, szczęście panuje wtedy, gdy

---

wstał w moim sercu, w pewien Jemu i mnie tylko wiadomy, poranek. Zmartwychwstał w Pani sercu w pewien dzień dżdżysty, a promienny. Ci, co na to Zmartwychwstanie patrzą, podobnie jak Magdalena u grobu, nie poznają Go pod przybraną szatą i postacią naszych dzisiejszych, zmienionych obyczajów. Dopiero gdy poprzez nas Chrystus sam zawoła ich po imieniu, przypadną mu do nóg, wołając „Rabboni!" — W swym uwielbionym Ciele zachował Pan stygmaty swojej Męki. Podobnie w tym uwielbionym, zmartwychwstałym Ciele jakim żyje dziś w nas, zachował pamiątkę naszej grzesznej przeszłości, która żyje we wspomnieniach zarówno naszych jak i naszego otoczenia. Lecz przyjdzie chwila, gdy niewierni Tomasze, włożywszy rękę do rany tych wspomnień, wreszcie uwierzą w Zmartwychwstanie i wielkim głosem zakrzykną „Pan mój i Bóg mój!"

Jan Rybałt

radość jest zdobyczą i własnym dorobkiem. Codzienne doświadczenie to potwierdza. Gdyby dzieciom nawet zaproponować, że nie będzie żadnych stopni w szkole i nikt nie przepadnie, większość opowiedziałaby się napewno za stopniami.

Pan Bóg stwarzając anioła i człowieka na podobieństwo swoje aż do granicy twórczości wiedział, że dlań większym szczęściem będzie zdobyć je niż korzystać z jałmużny i pozwolił, by stworzenie samo opowiedziało się przy Stwórcy. Oto dlaczego próba. Wprawdzie część odpadła, ale reszta mogła się tym większym szczęściem cieszyć.

Potępienie jest więc wyborem stworzenia, nie odrzuceniem od Boga. Śmierć i odrzucenie jest momentem utrwalenia usposobienia wrogiego Bogu. Potępienie jest nieszczęściem, gdyby ono było tylko odsunięciem, gdyby potępiony mógł się zwrócić do Boga, byłby szczęśliwym cierpiąc nawet. Szczęście polega na tym, by kochać i być kochanym. Jeden Bóg kocha bezinteresownie, a tylko Boga może kochać stworzenie bezbrzeżnie. Tak więc potępienie jest zaprzeczeniem miłości wzajemnej i zaszczepieniem w jej miejsce nienawiści. Zło weszło w świat przez pychę.

Ks. A. B.

Pani Jadwiga

Czy Zbyszek stracił serce dla matki?

Zbyszek, gdzie biegniesz?

— Nie widzi, mama? Do kolegów!

— To ani się ze mną nie pożegnasz?

— Dowidzenia! — ruch głową przesłany z daleka miał oznaczać ukłon dla matki dziesięcioletniego Zbyszka.

— Cześć koledzy! — Serwus! — Ale klawo jest, Gwardia znowu wygrała! — Ogniwo dziady, ciągle przegrywają!... — dobiegały młode głosy witających się chłopców. Podawali sobie dłonie z fantazją i siłą tak, że trzask dłoni rozlegał się daleko. Grupą poszli do szkoły.

— Nie wiem co się dzieje z moim Zbyszkiem, pani Jadwigo! — skarżyła się matka Zbyszka. — Przedtem był taki potulny, bez mego pozwolenia nigdzie nie poszedł, miał dla mnie zawsze miły uśmiech, na pożegnanie całował mnie w usta, takie miłe, słodkie dziecko, taki aniołek. A teraz?... Staje się wobec mnie, wobec swej matki zimny, szorstki, arogancki, nie lubi teraz jak go pocałuję w głowę czy pogłaskam. Gdy to kiedyś uczyniłam przy

kolegach, to aż się zaczerwienił ze wstydu i później wprost mi powiedział: „daj spokój mamo, z takimi czułościami. Nie jestem już dzieckiem!“ I jaką przy tym poważną zrobił minę. Nie wiem, przez co straciłam serce syna?

— Nic podobnego, nie straciłaś serca, czyli miłości Zbyszka. On cię kocha jak przedtem, tylko w inny sposób, bardziej po męsku.

— To znaczy, że Zbyszek już nie jest dzieckiem?

— Dzieckiem? Raczej nie. Również nie jest mężczyzną, nawet nie młodzieńcem.

— Wobec tego czym jest?

— Jest chłopcem! Przechodzi teraz okres rozwoju fizycznego i umysłowego. Sama natura wstrzymuje w tym okresie rozwój życia uczuciowego, aby mógł człowiek tym spokojniej rozwijać się bez przeszkód w życiu fizycznym i umysłowym.

— Zauważyłam również, że Zbyszek stał się obcy i dla swojej siostrzyczki, o dwa lata młodszej. Niedawno nie można było ich rozdzielić, a dzisiaj trzeba widzieć jak on z góry na nią patrzy. Swoją drogą, że ona też nie daje sobie krzywdy uczynić, tylko się odcina, jak osa.

— To też skutek natury. Rozwój fizjologiczny w tym okresie potrzebuje odosobnienia chłopców od dziewczynek. Z powodu jednak, że w praktyce takie odosobnienie jest niemożliwe, to jednak, dzięki naturze, chłopcy w tym okresie z dziewczynkami nie będą się bawić i na odwrót. Chłopcy mają swoje zainteresowania, a dziewczynki swoje. Tak powinno być. Nie znaczy to, że Zbyszek nie lubi siostrzyczki. Niech by ona gdzie wyjechała, to...

— Przepraszam, że przerywam, ale tak jest. Jak córka wyjechała na kolonię, a ja miałam ją odwiedzić, Zbyszek przynosi pudełko pomadek, które dostał za dobre świadectwo i prosi mnie, abym wręczyła je siostrzyczce wraz z kartką.

— A co napisał na tej pocztówce?

— „Baw się wesoło, tylko nie becz i szybko przyjeżdżaj! Twój Zbych!“

— To wszystko dowodzi, że Zbyszek będzie dzielnym człowiekiem. Jak stanie się młodzieńcem i rozwój fizyczny zwolni u niego tempo, zacznie się u niego rozwijać uczucie względem matki, siostry i... koleżanek siostry. A znakiem tego będzie staranie o porządny wygląd zewnętrzny, odpowiednie zachowanie towarzyskie, jednym słowem — elegancja.

— Ach! Kiedy to będzie?

— Nie tak prędko. Za pięć lat. Bądź jednak szczęśliwa. Znoś spokojnie jego szorstkość, niech się bawi z kolegami, niech z nimi biega, nawet z nimi niech zmierzy swe siły. To wszystko znak, że kiedyś będzie dzielnym mężczyzną, a nie przez całe życie „mamim synkiem“.

Bożena Mirska

PLAN REKOLEKCJI ZAMKNIĘTYCH

2/VI	— 6/VI	Dla III Zakonów
7/VI	— 11/VI	Dla pań pragnących pogłębić swą wiarę
17/VI	— 21/VI	Dla czcicielek Serca Jezusowego
24/VI	— 28/VI	Dla maturzystek i akademiczek
2/VII	— 6/VII	Dla nauczycielek
8/VII	— 12/VII	Dla księży
15/VII	— 19/VII	Dla księży
21/VII	— 25/VII	Dla pań oddających się pracy charytatywnej
28/VII	— 1/VIII	Dla pań z inteligencji
4/VIII	— 8/VIII	Dla panów
11/VIII	— 15/VIII	Dla nauczycielek
18/VIII	— 22/VIII	Dla matek (do 40 roku życia).
23/VIII	— 27/VIII	Dla III Zakonów
29/VIII	— 2/IX	Dla pielęgniarek.
3/IX	— 7/IX	Dla panien do 30 roku życia
9/IX	— 13/IX	Dla panien po 30 roku życia.
16/IX	— 20/IX	Dla starszych matek (od 40 roku życia).

Rekolekcje zaczynają się po południu pierwszego, a kończą się rano ostatniego z podanych przy każdej serii dni. Rekolekcji udzielają Karmelici Bosi. Kto pragnie wziąć udział w rekolekcjach winien uprzednio porozumieć się listownie z Domem Rekolekcyjnym przynajmniej na 7 dni przed rozpoczęciem danej serii. Należy ze sobą przynieść koc, ręcznik, oraz z artykułów żywnościowych 20 dkg cukru i 25 dkg tłuszczu.

Listy należy kierować pod adresem:

DOM REKOLEKCYJNY SS. KARMELITANEK DZIEC. JEZUS
Czerna, p-ta KRZESZOWICE, koło Krakowa.

TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Zakonnej. 1678/52

Redaguje Kolegium

Adres Redakcji:

Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"

Kraków

ul. Rakowicka 18

Konto:

Wydawnictwo Karmelitów Bosych

Kraków

PKO. Kraków Nr IV—842/113

Adres dla spraw prenumeraty:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu

„Ruch" Oddział w Krakowie

ul. Worcella 6

Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" Kraków

Dział Prenumeraty Pocztowej

Wydawnictwa Religijne i Naukowe

„Pod Opieką św. Józefa"

PKO. Kraków Nr IV — 1639.

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład Nr. 7, Kraków, Kazimierza Wielkiego 95.
M-3-10733 - Pap. druk. sat. VII kl. A1/60g - Zam. 69 - 22. I. 52 - Nakł. 7.000.